

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

7)

Gdy wujaszek nareszcie przestał perorować i podniósłszy się z krzesła oświadczył, że musi odjechać, żeby być obecnym przy śledztwie, matka — ku wielkiemu naszemu zdziwieniu — wyraziła życzenie udania się z nim do Polkimbra. Wuj, nie podejrzewając mateczki o straszną, wewnętrzną nią miotającą obawę, zaczął delikatnie z niej żartować, cytując ustępy z księgi Salomona o ułomnościach kobiecych — i to z takim nadmiarem szczegółów, że mimowoli zapytałem się w duchu, co powiedziała by ciotka Loveday, gdyby mąż w obecności swojej połowicy, to jest kobiety o tak niemal męskim i silnym jak ona umyśle i charakterze, wdał się w podobnie drażliwą dyskusję. Spostrzegłszy jednak, że matka moja upiera się przy swoim zamiarze, nie sprzeciwiał się dłużej i zaprosił ją do swego powoziku. Wtedy ja błagać zacząłem mamę o pozwolenie towarzyszenia jej w wycieczce, co także — jak mi się zdawało — zdziwiło ją mocno. Po krótko trwającej opozycji, zgodziła się i ona, więc we troje ruszyliśmy w drogę do Polkimbra.

Gdyśmy zatrzymali się przed karczmą, ujrzelśmy przed nią tłum już zgromadzony. Sędzia przybył i śledztwo rozpocząć się miało wkrótce. Oczekujący ludzie wyrażali o rozbiciu statku przeróżne przypuszczenia. Gdy spostrzegli wuję, który w podobnych okolicznościach uważany był za osobistość, posiadającą wysokie znaczenie, rozstąpili się natychmiast, aby go wraz z nami przepuścić do czerwonej izby, w której miało się odbyć badanie. Przechodząc przez korytarz, o mało nie upadłem, tak mnie przeraził krzyk papugi, należącej do karczmarza; wrzeszczała ona: „Wszystko stracone! wszystko stracone! Niech Bóg zlituje się nad nami!“ Ten ostry krzyk brzmiał w moich uszach, gdy drzwi rozwarły się przed nami i znaleźliśmy się wobec trybunału.

Przypuszczam, że komnata, oddana na użytek sądu, była pełna.

W rzeczy samej, ponieważ każda sprawa wymaga współudziału dwunastu przysięgłych i sędziego, nie licząc świadków, prawdopodobnie zatem musiała być całkowicie zapełniona. Ja jednak, zaledwie próg przekroczyłem, widziałem tylko jedną twarz i jedną parę oczu, przejmujących mnie strachem i nieokreślonym jakimś bólem. On mnie także dostrzegł od razu, lecz prócz płomiennego błysku w jego okrutnych źrenicach i prócz warg, które mu nagle zbiełają i zacisnęły się szczelnie, nic nie świadczyło, aby zauważył moją obecność.

Gdyśmy weszli, przemawiał sędzia, lecz głos jego brzmiał dla mnie tak, jakby rozlegał się gdzieś daleko. Następnie zeznawał wuj Loveday, lecz z całego jego świadectwa, oraz zachowania się w sądzie, pozostało mi tylko w pamięci niejasne wrażenie mo siężnych guzików, iskrzących się w słońcu na jego surducie. Poczem wezwano Jonatana, strażnika wybrzeża. Widział on — albo zdawało mu się, że widzi — statek, przy tak zwanym brodzie Łaski, narażony na groźne niebezpieczeństwo, lecz okręt, pomimo to, ogni sygnałowych nie wywieszał wcale. Jednakże strażnik zawiadomił o tem stację w Lizard.

Wypuszczono w górę kilka rac i przeszukano wszystkie ściany nadbrzeżnych skał, aż do Porth Pyg, lecz nic nie znaleziono. Ludzie wysłani w celu poszukiwań, wracając dopiero spotkali nad zatoką Gotowych Pieniędzy marynarza — należącego prawdopodobnie do załogi rozbitego okrętu — w towarzystwie małego chłopczyka, który się zowie Kasper Trenoweth.

Usłyszawszy moje imię i nazwisko, wymówione obcym głosem, drgnąłem cały i już drugi raz, po naszym wejściu, uczułem oczy cudzoziemca zwracające się na mnie i jakby pytające mnie o coś. Równocześnie uczułem także dłoń mateczki, ściskającą moją rękę nieco silniej. Zrozumiałem, że to spojrzenie nie uszło jej uwagi.

Powietrze w izbie stawało się coraz duszniejsze, a ściany jej zdawały się zbliżać ku sobie w miarę, jak Jonatan nieznośnie monotonnym głosem składał swe zeznania. Słońce ogromnym snopem ciepłych promieni wbiegało przez okno i zamieniało drzewem wyłożony pokój w piec rozpalony. Dla mnie oświecało tylko parę groźnych oczu. Rozmaite głosy donośnym echem rozlegały się z kolei jeden po drugim, lecz dolatywały do mnie, jakby słyszane w śnie ciężkim i obezwładniającym. Skrzypienie piór po

papierze i tupot nóg wydawał mi się oddalonym szumem morza, aż do chwili, w której sędzia przywołał Giorgia Rodofani.

Teraz dopiero z mę zącego rozdrażnienia nerwowego przebudziłem się odrazu. Uczułem raz jeszcze pytający wzrok cudzoziemca zwrócony na mnie. Znowu dłoń matki przycisnęła moją, gdy on powstał i najśłodszym oraz najmuzykalniejszym głosem zaczął zeznawać.

Oto, jakim było zeznanie Giorgia Rodofaniego, marynarza greckiego, przełożone z jego rodzimej mowy na język angielski przez Jakóba Ruzapoles, tłumacza przysięgłego z Penzance:

— Nazywam się Giorgio Rodofani. Jestem Grekiem z urodzenia i całe życie marynarzem. Byłem majtkiem na statku, który ostatniej nocy rozbili się przy waszem okropnem wybrzeżu. Okręt należał do portu w Bristolu, lecz nie pomnę ani miana, jakie nosił, ani nazwiska kapitana.

Ten dziwny wstęp, wypowiedziany śmiało, wywołał na wszystkich twarzach wyraz ogromnego zdziwienia. Mnie zaś po prostu oszołomiła czelność człowieka, który najnieprawdopodobniejszą treść swego zeznania ubrał w cudzoziemskie wyrazy, płynące gładko z ust, które tak niedawno przemawiały do mnie łatwą i harmonijną angielszczyzną.

Po chwili milczenia, zrozumiałwszy zdziwienie i nieufność słuchaczy, swobodnie mówił dalej:

— Dziwicie się panowie, a nie zastanowiliście się, że ja, jako Grek, nie mogę zapamiętać i wymówić waszych nazwisk angielskich. W Colombo dostałem się na okręt, który dzisiejszej nocy uległ rozbiciu. Kapitan miał zdekompletowaną załogę, przyjął mnie zatem bardzo chętnie, nie zwracając uwagi na moją narodowość i nieznajomość waszej mowy. Już przedtem raz rozbiliem się około Jawy, na statku holenderskim, należącym do portu Dordrecht... i poszukując posady lub zajęcia, udałem się do Ceylonu. Nie jest więc rzeczą nadzwyczajną, że język angielski jest mi obcy... Pokażcie mi listę statków, kursujących do Indyi, a wskażę wam ten, o który chodzi.

Zaszeleściły papiery, poczem lista okrętów, odbywających stale drogę do Indyi, podaną mu została. Przerzucał w niej powoli kartkę po kartce i posuwał po nich palec. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

— Oto ten — wskazał.

Sędzia wziął listę i przeczytał:

— „James i Elzbieta“ z Bristolu. Kapitan: Antonius Merydew.

— Tak, to ten — mówił dalej Rodofani. — Niemowlę na ląd wyrzucone było dniekiem kapitana. Urodziło się w ciągu podróży. Załoga składała się z ośmnastu ludzi. Pasażer był jeden, jakiś mały Anglik, no i żona kapitana. Dziecko przyszło na świat na wybrzeżach Afryki. Wyplłynęliśmy z Colombo dnia 22 lipca z ładunkiem kawy i cukru trzcinowego. Dwa dni temu opuściliśmy wielki port, którego nazwy nie pamiętam... lecz już o wczesnym ranku znaleźliśmy się wprost miejscowości, którą, o ile mi się zdaje, zowiecie Lizard. Wiatr południowo zachodni pchał nas ku waszej okropnej zatoce. Cały dzień pracowaliśmy, żeby do tego nie dopuścić. Pod wieczór zerwała się burza. Już wówczas, gdyśmy się zatrzymali czas jakiś w zatoce Biskajskiej, kapitan zachorował obłóźnie. Nie wywieśzaliśmy sygnałów, bo nie wiedzieliśmy co robić: kapitan chory, a jego zastępca pijany. Ten ostatni zaczął coś krzyczeć dopiero wtedy, gdyśmy tonęli. Sam jeden wdrapałem się na przecznicę, podtrzymując przedni trójkątny żagiel i stamtąd skoczyłem do morza. Nie wiem, co się stało z innymi. Co do mnie, jak powiedziałem, skoczyłem i dopłynąłem do skały, pod którą znalazł się mnie dziś rano. Słyszałem, że majtkowie krzyczeli, ile tylko tchu starczyło im w piersiach, lecz silniejszym od ich krzyku był głos wrzeszczącego zastępcy kapitana. Kapitan, ze względu na ubezwładniającą go chorobę, leżał w swojej kabinie. Gdy go widziałem po raz ostatni, była przy nim żona z dzieckiem, lecz może być, że w ostatniej chwili wybiegła na pokład. Gdy walczyłem z falami, dwa razy woda zalewała mnie całkowicie, lecz pomimo to nie poddałem się rozpamiętaniu żywiołowi i dopłynąłem do skał. O świcie przekonałem się, że mam przed sobą ląd stały, więc już niemal bez trudności dotarłem do wybrzeża.

W miarę opowiadania, pozbawionego wszelkiego ład i ciągłości myślowej, nie wiem doprawdy, kogo ono zaciękało najbardziej. Przysięgli, jakby czarowani słodkim głosem opowiadającego, pomimo, że pojąć nie mogli tajemnicznego powodu nagłego zniknięcia statku, widocznie nie ochranianego przez załogę, słuchali z wielkiem zajęciem tak Rodofaniego — chociaż go nie rozumieli — jak i tłumacza.

Pochyleni na krzesłach, wyciągali szyję, zapierając dech w piersiach, aby nie uronić ani jednego słowa.

Matka moja nie mogła oderwać wzroku od cudzoziemca. Gdy wahał się, wybierając ze spisu nazwę okrętu, podniosła się z siedzenia. Wargi jej od zaniepokojenia i oczekiwania zbladły jak kreda. Dopiero, gdy sędzia przeczytał „James i Elzbieta“, upadła na krzesło i szepnęła:

— Dzięki Bogu!

Te dwa wyrazy, a raczej sposób, w jaki je wy-mówiła, ujawnił mi przyczynę jej lęku, oraz dał poznać, jak ogromną była dręcząca ją obawa. Ja zaś sam nie zdawałem sobie należyte sprawy, czy wszystko dobrze słyszałem, oraz co mam myśleć o całej historii. Wiedziałem, że część opowiedzianej bajeczki była kłamstwem, lecz nie wiedziałem, w jakim stopniu i mierze. Co zaliczyć należało do prawdy, a co do zmyślenia? Zwłaszcza, że bałamuciło mnie zapewnienie Johna, iż statek, który się rozbilił, a na którym on płynął, nosi miano „Maryi Joanny“.

Obejrzałem się w około.

Po ostatnich słowach, wyrzeczonych przez Rodofaniego, zapanowało w izbie zupełne milczenie.

Nawet sędzia czuł się widocznie zachwianym w swoim przekonaniu. Pomimo, że zeznanie wydawało się bezwzględnie nieprawdopodobnem, nie było nikogo, chcącego mu zaprzeczyć. Ja jeden — lecz nikt się tego nie domyślał — mógłbym go oskarżyć o zbrodnię i kłamstwo. Ba! ale na mnie nikt przecie nie zwracał uwagi.

Sędzia, jakby już tylko czyniąc zadość formalnemu obowiązkowi, zadał jeszcze obwinionemu parę pytań, poczem streścił historię i przebieg sprawy. W czasie tego uległem powtórnie sennie bezwładności umysłowej, przyczem pierwotna obojętność oświadczyła całemu mojemu jestestwem. Przysięgli wydali wyrok uwalniający od odpowiedzialności, przypisując rozbicie okrętu i zagładę znacznej liczby ludzi nieszczęśliwemu, chociaż niedostatecznie wyjaśnionemu zbiegowi okoliczności.

W chwili, gdy mateczka wyprowadzała mnie z izby, usłyszałem jednego z przysięgłych, Józefa Roscortę, wygłaszającego w sposób nie dość jasny, lecz sobie właściwy, wyłączną i własną opinię o całym zajściu.

— Niech dyabli porwą wszystkich cudzoziemców! Ja ich nigdy nie mogę zrozumieć!

Gdy zaś drzwi zamykały się za nami, zasłaniając przedemną przenikliwie, groźne i okrutne oczy cudzoziemca, rozległ się znowu ostry krzyk papugi karczmarza, wołającej: „Wszystko stracone! wszystko stracone! Boże ulituj się nad nami!“

## ROZDZIAŁ VI.

W którym ukazuje się nam w cknieniu twarz okropną, oraz dowiadujemy się, w jaki sposób i w jakim stanie ojciec mój wrócił do domu.

Wróciliśmy z matką do Lantrig drogą, wijącą się nad skałami. Milczeliśmy oboje. Pragnąłem z głębi duszy opowiedzieć jej całą historię i przekonać, że to, co mówiłem o „Maryi Joannie“, nie było zmyśleniem, lecz strach krępował mnie jeszcze. Mateczka zaś zajęta była własnymi myślami. Nie wątpiłem, że zauważyła spojrzenie, jakim cudzoziemiec starał się porozumieć ze mną. Domyślała się, że opowiadanie jego było kłamliwe, i że ja wiedziałem o tem. Czego jednak prawdopodobnie odgadnąć nie mogła, to ohydy zamykającej mi usta, jakby na kłódkę. Więc oboje z pochylonemi głowami, pełnemi gorzkich myśli, zdążyliśmy powoli do Lantrig.

W czasie wieczery nic nie zmieniło się w usposobieniu naszym. Wszelki pokarm wydawał mi się wstrętny. Chociaż przymuszałem się do jedzenia, cała moja kolacja, prawie nietknięta, zesłała ze stołu. Lecz gdy roznieciliśmy ogień na kominku i zapaliliśmy świece, a ja przysunąłem dla siebie taburet do nóg mateczki, siedzącej na fotelu, znana dobrze komnata wydała mi się tak miła i ciepła, że strach, jakim byłem przejęty, rozwił się nagle w dobroczynnej atmosferze starego dworu. Położyłem sobie gruby tom „Wycieczki pielgrzyma“ na kolanach i zacząłem, nie wiem już który raz w życiu, przerzucać w nim kartki od początku do końca poświeci o Chrześcijaninie i Apollyonie. Jakaś nowa otucha wstępowała w serce i pokonywała w niem obawę ranną.

Czytałem:

„Boju takiego nikt wyobrazić sobie nie może, chyba, że jak ja patrzył nań i słyszał okropny ryk Apollyona w ciągu walki. Miał on głos podobny do głosu smoka. Nikt również nie wyobraził sobie westchnień i lamentów, wydobywających się z piersi Chrześcijanina. Nie dostrzegłem w oczach jego radości, dopóki nie zobaczył, że zranił Apollyona